

członkiniami, które nie mogą zrozumieć obowiązków, choć nie ciężkich, obowiązujących członkinie. — Np. uczęszczanie na zebrania i nabożeństwa, o czem kiedyś osobno napiszę, aż raz zruchujemy z Zuzią, ile też na takim kwartalem i sodalicyjnym nabożeństwie bywa obecnych — wynalazłyśmy dobry i nie trudny sposób — wyrachujemy do jednej — i damy sprawozdanie w naszym piśmieku, żeby się dowiedziały i te które gorliwie uczęszczają i te które się ociągają. Zeszłyśmy wreszcie na sprawy fachowo-kucharskie. Zwierzyłam się mojej przyjaciółce, że chciałabym zrobić przyjemność mojemu panu, który lubi bardzo serniki, a mnie się jakoś nie udają takie, jakie nieraz widziałam, że i sera jest grubo i zakalca nie ma. — Zuzia na to: i ja pewnego przepisu ci nie dam, ale cię zaprowadzę do kuchmistrzynie w naszym szpitaliku, ona jest prawdziwą mistrzynią w tej rzeczy i świetnie jej się udaje. — Umówiliśmy się kiedy się tam udamy i w oznaczonym dniu wybrałyśmy się do niej. Chętnie nas przyjęła i recepty dokładnie nie odmówiła. — Zastaliśmy ją przy fabrykacji likieru (bo i to jest jej specjalnością), który przygotowywała komuś w prezencie na imieniny — skosztowałyśmy już gotowego i przyznałyśmy, że niczem Baczewski. Niech się tylko nie obrazi, że ja zdradzamy, bo to nie jest wcale ujmującym, kiedy nawet jedna ze świętych wyrabiała likiery i nie jej to w świątobliwości nie przeszkadziło. Uzyskawszy to, o co mi chodziło, poprosiłam Zuzię, żeby mnie zaprowadziła do szpitalika, bo od dawna miałam ochotę zwiedzić go, tylko sama nie mogłam się na to odważyć niemając tam znajomości. Poszłyśmy na piętro — dobrześmy trafiły, bo dzień był wolny od wizyty lekarskiej — więc swobodnie można było zobaczyć wszystko. I tu zarządczyni była dla nas łaskawa, oprowadziła wszędzie, pokazała wszystko, nawet ornaty w przepięknej kaplicy, za co jej na tem miejscu dziękuję serdecznie. To, com zobaczyła w szpitaliku przeszło moją wyobraźnię — wszędzie czyściutko i porządek jak w pudełku. Chore mimo swoich cierpień, jakoś wesoło wyglądają. — Każda ma swoje łóżeczko czyściutko załane, nie tak, jak w szpitalu publicznym, gdzie dla braku miejsca, nierzadko po dwie osoby do jednego łóżka układają, co nie nastraja chorych tak, jak w naszym szpitaliku. Zwiedziwszy dokładnie wszystko wyszłyśmy w najlepszym nastroju, a ja widząc to wszystko, westchnęłam do Bozi żeby jeśli się Mu podoba nawiedzić nie choroba, dał mi to, żebym znalazła miejsce w naszym szpitaliku, bo w niem i umrzeć dobrze, bliźniutko przy Panu Jezusie mieszkającym dla pociechy sług swoich.

Szkoła bez Boga.

W Paryżu siedział na ławie oskarżonych 18-letni zbrodniarz, nazwiskiem Emil Sandot, o wyrazie twarzy wstrętnym, odpychającym. Przewodniczący sądu zadaje mu pytanie:

— Sandot, tyś zamordował Rozalję Menier, aby ją z dwóch franków obrałować? Zapewne nie byłbyś tego zrobił, gdybyś był wiedział, że tak mało u niej znajdziesz?

Sandot: — Czemu nie? Co mi tam zależało na starym czerepie, czy ma wiele, czy mało pieniędzy? Wiedziałem, że coś ma grosza. Ja się biorę do każdej roboty za każdą cenę.

Przewodniczący: — Przerażasz nas, Sandot, twoją bezczelnością. Masz dopiero 18 lat, a takiś już ładaco. Kto cię nauczył tego łajdactwa?

Sandot: — Czy ja wiem?

Przewodniczący: — Więc się przyznajesz, o co cię obwiniają?

Sandot: — Wszystko przyznaje i za głupstwo uważam.

Przewodniczący: — Zanim sędziowie przysięgli wydadzą swoje zdanie, niech pan obronca wypowie swoje słowo.

M. Appert, adwokat przysięgły głos zabiera:

— Moi panowie! Moje zadanie jest bardzo łatwe. Oskarżony przyznał się do wszystkiego. Obrona jest niemożliwa. — Mimo to mam wiele do powiedzenia. Kto tu właściwie jest zbrodniarzem? Winowajcami jesteście wy, panowie, co przed-